

niego przy drzwiach, zmierzyla go badawczym spojrzeniem i poczęła powoli wdziawać rękawiczki. Co się tyczy Boba Murphy, to nie należał on, jak się zdaje, do nieprzyjaciół pięknych twarzyczek kobiecych, bo patrzył na nią tak, jak dobrze znający się na „towarze“ donżuan. Widać było po jego minie, że ma ochotę ją zagadać, ale nie śmiał, prawdopodobnie będąc przekonanym, że jest to jedna z klientek banku, bo przecież, gdyby należała do personelu bankowego, to musiałby ją znać. Lydia sama wyrwała go z zakłopotania.

— Czy pan także należy do banku? — spytała, nie przestając wdziawać rękawiczki.

— Ja — odparł Bob skwapliwie — o to mogłabyś się, młoda pani, założyć. Należę do żywego inwentarza tego banku.

— I dlatego stoi pan pod drzwiami? — zapytała zdziwiona.

— Dlaczego nie? Należę mianowicie do zwierząt nocnych, musi pani wiedzieć —

— Aha, to pan w nocy wychodzi na żer?

Bob Murphy umilkł na chwilę, ale zaraz potem wybuchnął głośnym śmiechem:

— Jesteś pani uszczypliwa — rzekł — jak Boga kocham, dyabelnie uszczypliwa. Ale w jednym się pani pomyliła. Nie wychodzę bowiem na noc na rabowanie, ale na rabusiów i dlatego śpię we dnie. Chociaż dzisiaj — rzekł żałośnie — dano mi zaledwie parę godzin na spoczynek — niech to dyabli wezmą!

Lydia wdziawała już rękawiczki, podniosła głowę i spojrzała na stróża.

— Czy pan może jest tajnym agentem, sir? — zapytała.

— Nie, z tą piekielnie złą i dostojną branżą nie mam nic wspólnego. Jestem nocnym stróżem tego banku.

— Nocnym stróżem?

— Tak jest — ale kimże pani jesteś?

— Ja — ja także należę do żywego inwentarza — wszak tak się pan wyraziłeś — w tym banku.

— To niemożliwe. Ja pani jeszcze nie widziałem nigdy.

— Bardzo jasne, bo ja dopiero dzisiaj objęłam urzędowanie.

— A, to mnie cieszy, miss. To mnie cieszy, bo prawdę powiedziawszy, pani jesteś dyabelnie zgrabna i miła...

— Tak pan sądzisz? — rzekła Lydia, rzucając nań powłóczyście spojrzenie z pod przymrużonych powiek.

— Jak mi Bóg miły! Jesteś pani kolosalnie piękna! A niech mnie uśmierca, jeśli lżę!

Lydia uśmiechnęła się.

— To coś tak, jakby oświadczyły...

— Chce je pani odemnie usłyszeć, miss? — zapytał śmiało Murphy.

Zmierzyła go od stóp do głowy.

— Nie — rzekła zimno i zwróciła się do wyjścia.

— Jeśli ja się pani nie podobam, no, to jeszcze nie ma pani potrzeby uciekać — ja przecież żartuję tylko.

Lydia uśmiechnęła się znowu.

— Pan przecie nie jest taki zły, jak się pan wydaje. Ale muszę już iść do domu.

Bob Murphy, jak się zdawało, nie myślał tak łatwo pozbyć się pięknej kobiety.

— Czemuż się pani tak spieszy. Niechże mi pani przynajmniej powie, jakie stanowisko pani w banku zajmuje?

— Jestem sekretarką młodego Vanderhooka.

— Co, pani pracuje w prywatnym gabinecie młodego pana?

— Cóż to pana tak dziwi?

Bob Murphy w tej chwili spowaźniał.

— Miej się pani na ostrożności — rzekł.

— Nie rozumiem pana. Dlaczego? Na co?

— Niech się pani przed nim strzeże. Młody Vanderhook jest bowiem — — haha, to jest numer!

— Tak, on jeden, a pan drugi — to razem dwa.

— Niech pani nie żartuje, młoda pani. Młody Vanderhook, to jest — — to jest rzeczywiście —

— No co?

— To jest, jeszcze raz powiadam — — to jest numer!

Lydia zacisnęła wargi i spojrzała zdumiona na stróża.

— Cóż to jest? — zapytała leniwie.

— No, no, niech-no pani nie udaje!...

— Jesteś pan dureń, jakkolwiek się pan mo-  
żesz nazywać!

— Bob Murphy to szacowne nazwisko, proszę

pani i żart żartem, ale mówię raz jeszcze, niech się pani strzeże. Tamta, poprzedniczka pani, zeszła także na psy, wie pani, tak, na psy...

— Dlaczego?

— No, stary nie chciał tego mieć w biurze — rozumie pani — zresztą — Bob Murphy przerwał sam sobie — zrobiwszy ręką lekceważący ruch — w najbliższym czasie nie ma się pani czego obawiać. Ma on teraz inne sprawy na głowie. Czy pani nie zauważyła?

Lydia podniosła woalkę i z uwagą spojrzała stróżowi w oczy.

— Co miałam zauważyć?

— Pst! Cicho! To, co w tym domu zaszło, to tajemnica!

— Przestrasza mnie pan — szepnęła.

— Niema obawy. To już przeszło!

— Ale co?

— Tego nie mogę powiedzieć, miss.

— Proszę, niech mi pan powie, ja umiem milczeć. Zaniepokoiłeś mnie pan i chcesz mnie tak pozostawić w niepokoju.

Bob Murphy milczał. Zdawało się, że w umyśle jego wyłania się jakaś nowa myśl.



Niech się pan spyta potem, jak pan osiwieje...

— No — rzekł wreszcie — powiem pani, ale to rzeczywiście jest tajemnica kolosalna — powiem pani, ale jeżeli mi to pani należycie wynagrodzi.

— Jakto? Miałabym panu za to płacić?

— Ależ nie pieniędzmi, miss. Twarzyczka pani, taka piękna, jak malowanie, rozżarzyła mi ogień w żyłach. Chcę innej nagrody, well — za całusa powiem pani wszystko.

— Za jednego całusa? Czyś pan przypadkiem nie zwaryował, przyjacielu?

— Bynajmniej. I nie wiem, dalibóg, dlaczego się pani namyśla. Całus — ba! — całus nie pozostawia śladów.

Lydia patrzyła chwilę w ziemię, poczem roześmiała się.

— Z pana jest dyplomata, mister Murphy. Rzeczywiście — z tego punktu widzenia nigdy nie wychodziłam.

— Aha. No — zgadza się pani?

— Nie wiem.

— Tak, albo nie, miss. Chce pani?

— Chciałabym wiedzieć, co zaszło w tym domu.

— W takim razie chodźmy. Nie możemy tu stać. Mógłby kto nadejść.

Bob Murphy wyszedł na ulicę, a za nim Lydia. Stanęli w sieni najbliższego domu. Jesienne niebo pokryte było chmurami, a na ulicy rozpraszali nad-

chodzący mrok elektryczne promienie wielkich łukowych lamp. Murphy stanął tuż obok Lidyi.

— A więc? — rzekł.

Lydia trzymała brzeg swojej woalki i odwróciła się.

— A więc?

— Całus, dziewczyno!

— Oho! Na nic sztuka. Naprzód tajemnica, potem nagroda.

— Także dobrze — szepnął Bob. — Zgadza się. Dzisiaj w nocy mieliśmy tu włamywaczy. Rozbito kasę i skradziono dwa miliony dolarów. Policja rzuciła podejrzenie na młodego mister Vanderhooka, gdyż pomiędzy włamywaczami był jeden z postaci zupełnie do niego podobny. Śledztwo w pełnym toku. Nie sądzi pani, że mu to teraz klinem w głowie siedzi? Well — a teraz...

— To wszystko? — przerwała Lydia potok słów zakochanemu Irlandczykowi.

— To wszystko. A teraz...

— A teraz — dobra noc, sir Murphy; ślicznie dziękuję — rzekła Lydia, śmiejąc się i wyszła na ulicę, oblana potokami światła.

— Pardon! A obietnica, miss?

— Ach, całus? Ja go panu przyrzekłam, to prawda, ale na kiedy? Niech się pan spyta potem, jak pan osiwieje. A teraz dobranoc, sir Murphy. Z gracyą i wdziękiem podniosła suknię i szybkim krokiem odeszła w głąb ulicy.

Bob Murphy zaklął z cicha, splunął na rynnę i szedł za nią kawałek. Ale wkrótce potem stanął, wzrokiem ścigał jeszcze odchodzącą, a kiedy znikła na zakręcie ulicy, wrócił się i poszedł zwolna ku bankowi.

## VI.

W dyrekcyi policyi jedenastego dystryktu nowojorskiego, zostającej pod kierunkiem kapitana Ulissesa Tomsona, panował niebywały ruch. Wprawdzie robota detektywów, przeznaczonych do śledzenia sprawy Vanderhook, nie postąpiła jeszcze ani na krok naprzód, żadna z podejrzanych osób nie próbowała uciekać z miasta, nawet Bill Crooke przebywał jeszcze w mieście, oddając się słodkiemu wypoczynkowi po żmudnem siedzeniu w więzieniu, z którego nie dawno wyszedł; nie było też najmniejszej nadziei wyśledzenia, gdzie się znaj-

dują owe skradzione dwa miliony, ale nie to było przyczyną owego ruchu w policyi. Przyczyną tą było niebywałe, olśniewające odkrycie, odkrycie prawie bajeczne, które nawet w sanktuarium głównej dyrekcyi policyi w Nowym Jorku wywołało wrzenie i spowodowało najbystrzejszego praktyka kryminalnego na świecie, inspektora policyi Byrnesa, do tego, że sam osobiście zajął się tą sprawą. Żaden detektyw już nie wątpił, że Bill Crooke, rozbijacz kas, rzeczywiście dokonał włamania, on sam i kilku dotychczas jeszcze niewyśledzonych jego kolegów. Stojący na żołdzie policyi tajni agenci, po większej części sami byli włamywacze i zbrodniarze, wierzyli w to jak w biblie, bo było to publiczną tajemnicą w kołach zbrodniarzy i złodziei nowojorskich, ale jedna rzecz była w tem nie do uwierzenia. Włamanie i rozbicie kasy nie przyniosło pożądaných rezultatów, teki z dwoma milionami dolarów, której szukali złodzieje, w kasie już nie było. O tem także wiedziały wszystkie męty społeczne w Nowym Jorku. Bill Crooke pozostał tak ubogim, jak mysz kościelna, nie zarobił ani złamanego szeląga, tem mniej więc dwóch milionów dolarów.

Ciąg dalszy nastąpi.